Rok V. Kraków, 1 Grudnia 1897. **Nr. 20.**



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: 3 złr.
półrocznie: 1 złr. 50 ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: 6 mk. — półrocznie: 3 mk.
W Ameryce rocznie: $1\frac{1}{2}$ dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: ***Redakcya Nowego Dzwonka,*** w **Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi raz w miesiącu — około dnia **1**-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Ważne dla wszystkich!

Donosimy Szanownym Czytelnikom, że:

1) **prenumerata** na *Nowy Dzwonek* pozostaje i na rok przyszły **ta sama,** jaka była dotąd, to jest **na rok 3 złr., na pół roku 1 złr. 50 cnt. Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się!**

2) *Nowy Dzwonek* wychodzić będzie i nadal **raz w miesiącu** około dnia **1-go** w objętości tej samej, a nadto od Nowego Roku **w okładce i z rycinami** (czyli obrazkami).

3) Ponieważ i w tym roku i w latach poprzednich wielu nas zawiodło i s k r z y w d z i ł o, bo pismo brali, a dotąd nie zapłacili, przeto w roku przyszłym przesyłać będziemy *Nowy Dzwonek* **tylko tym, którzy z góry złożą prenumeratę** całoroczną, lub przynajmniej półroczną.

4) **Nową prenumeratę** prosimy przesyłać już **teraz, w tym miesiącu,** ile możności j a k n a j r y c h l e j, abyśmy mogli wcześnie uregulować nakład na rok następny. Dla ułatwienia r y c h ł e j przesyłki nowej przedpłaty załączamy do niniejszego numeru p r z e k a z y pocztowe.

5) Ktoby nie chciał nadal naszego pisma prenumerować, raczy nas o tem u w i a d o m i ć, **albo niech nam zwróci numer pierwszy,** który wyjdzie z p o c z ą t k i e m stycznia roku przyszłego.

Życzliwym nam Czytelnikom serdecznie dziękujemy za dotychczasowe z ich strony poparcie i prosimy o dalsze, oraz o rozszerzanie *Nowego Dzwonka* między znajomymi.

Do widzenia w roku przyszłym.

Wydawnictwo „Nowego Dzwonka".

Opowieść o Bolesławie Śmiałym*).

(Według K. Kalinki).

I.

Już słońce wstało, wstał też i król Bolesław Śmiały raniej niż zwykle, dziś bowiem rycerstwo polskie ma się udać w dalekie strony, aż ponad brzegi Dniepru, dla dania pomocy ruskiemu księciu Izasławowi, powtórnie przez braci zepchniętemu z tronu.

Po starym Krakowie mnogo snuje się ludu, mnogo wojska zbiera, a około niego gęsto nagromadziło się niewiast. Tu stoi żona i całuje twardym pancerzem odzianego męża lub podaje dziecię, by go ojcowska upieściła ręka; tu znów siostra, tam ojciec stary lub zgrzybiała matka żegnają rycerza, wyruszającego w pole walki.

Coraz więcej gromadzi się rot, szykują się i porządkują. Ale cóż to za mąż w stalowym pancerzu, złocistym nakryty hełmem? Bieży na kruczym koniu, przebłyskuje szerokim mieczem, a spuszczona przyłbica kryje lice jego. Stanął na boku wśród kilku na rozkazy czekających rycerzy i odsłonił przyłbicy, to Wszebor, piastun i ulubieniec króla, dzielne ramię i dzielne serce ma pod zbroją. Rozdziela hufce. Kilkanaście sotni naprzód postawił, niby przednią straż, kilkanaście na boku, to jakby na ściany, a cała moc, cała potęga, w środku pozostała; jeszcze nie rusza ani puszcza cugli koniowi, bo jeszcze króla nie widać. Otóż i on się zbliża: chorągwie idą z księżmi na czele, mnoga ich liczba, i koło nich mnogo rycerzy. Już przeszli młodsi księża, teraz i starsi idą, a tuż za nimi postępuje pieszo, otoczony gronem rycerzy, król Bolesław z księciem Izasławem; w oddali prowadzą ich konie.

Wśród radosnych okrzyków i uniesień ludu doszli nakoniec do miejsca, gdzie rozłączyć się mieli. Król dosiadł rumaka, nie wielu ale z serca płynącemi słowy pożegnał lud; i jemu i sobie łzę z oka wycisnął, bo Bolesław był to pan prędki ale dobry, szczodry i łatwo uraz zapominający. Wśród żalu i płaczu i pożegnawczych okrzyków, na czele rycerstwa, unosząc za sobą i swoimi kochające serca, pogonił ku wschodowi, do Kijowa, wygnać Wszewołoda, a oddać tron bratu Izasławowi.

---

*) Bolesław, zwany Śmiałym, panował w Polsce od r. 1058 do 1080.

II.

Czas rączo upływa, a tu żadnych wieści! Ani wiadomo gdzie Bolesław, gdzie jego rycerze — czy pod Kijowem, czy jeszcze są w Przemyślu? Pozostałe jakby owdowiałe niewiasty nie wiedzą, kiedy przybędzie mąż, kiedy syn powróci albo brat zawita? Na zamku krakowskim tęskni królowa Wisława, płacze mały Mieszko. Nieraz królowa popatrzy na niebo, na ziemię, czy jutrzenka, co słońce zwiastuje, nie zwieści także przybycia Bolesława. Ale zawiedziona zaniesie się od płaczu, a jedyną jej osłodą pocieszenie matki Dobrogniewy i małego Mieszka uściśnienie. Niekiedy zawita na zamku Małgorzata Streporówna, odwiedzi królowę, rada wywiedzieć się czego o mężu, ale i ona zawiedziona z spłakanem licem wraca do swego Ziembocina. Niewiele przecież niewiast równie jak ona pędzą smutne dni; niejedna już dawno łzy otarła, tylko czasem, chyba od święta, zapłacze i zatęskni.

Już siódma pełnia miała zawitać na wieczornem gwiazd sklepieniu, kiedy wśród jasnego dnia tęskna Wisława od wschodniej strony ujrzała kurzawę po drodze. Wpatrując się coraz lepiej poznała posłańca królewskiego, a jako smutek jest znośniejszym, kiedy go się z drugim podziela, tak i radość jest weselszą, kiedy ją więcej serc czuje, więc uczucie wzbudziło się w sercach królowych; Dobrogniewa dała znać niewiastom, a Wisława złożyła pocałunek na skroni Mieszka. Wyprawiono posły do Ziembocina, do pobliższych dworów niewiast, aby przybyły na dwór królowej; może niejedna otrzyma pozdrowienie, może miłą wiadomością osuszy nieco łzy, a może też i rzęsiściej płynąć im dozwoli.

* *

Po wschodniej drodze ku gotyckim szczytom Krakowa sadził rumakiem goniec królewski; widno, że rozkaz króla spieszyć się mu każe. Podbiegł pod bramę, szeroko otworem już stojącą, i szybko pokłusował wprost na zamek. Dobiegł. Już wysłani oczekiwali go słudzy, odebrali konia, a oświadczywszy, że królowa nań czeka, zapraszali do jej komnat. Nie lenił się, ani baczył na ciężki znój, ale raźno pobiegł znużony daleką drogą goniec.

W komnacie tymczasem królowa, zwoławszy wszystkie towarzyszki i niby owdowiałe niewiasty, czeka wieści z bijącem sercem. Wszedł rycerz, pokłonił się nizko, a ujrzawszy grono zebranych niewiast, mocno się zadziwił.

Królowa, mniemając, że utrudzenie było przyczyną jego milczenia, pierwsza przemówiła:

— Przebacz nam, rycerzu, żeśmy cię, mimo twego znoju a ciężkiej podróży, do siebie wezwały, ale powiedz nam choć słów kilka o naszym panie i drogim nam małżonku, a inne sprawy odłożyć możesz do wolniejszej chwili.

— Miłościwa pani, wasz małżonek a nasz dzielny król przesyła wam przeze mnie swoje pozdrowienie.

— Nasz mąż i pan już dawno w Kijowie?

— Od miesiąca dopiero. Pięćkroć razy zmienił się księżyc na niebie, nim wiarołomne miasto zdobyć mogliśmy. Długo przeniewiercy Kijowianie trzymali się, ale kiedy król nasz ścisnął i okolił miasto gęstymi szyki, już nie było dlań nadziei. Wszewołod, ratując siebie i swe mienie, uciekł i nie oparł się aż w Czernichowie, Kijowianom też sprzykrzyło się jeść suchy chleb z Dnieprową wodą, zapragnęli sucharów i poddali się. Pan nasz swojemu wojsku przyjaźnie i po bratersku z nimi obchodzić się każe, więc wdzięczni Kijowianie gościnnie go i bogato podejmują, raczej prawy ich hosudar, kniaź Izasław Jarosławowicz.

— Małżonek nasz, kiedy wsadził na stolicę brata naszego, przybędzie zapewne odpocząć w Krakowie?

— Król pan, bacząc bardzo zawikłane sprawy ruskie, uważa swą obecność za potrzebniejszą w Kijowie i tam już na zimowe leże porozsadzał wojska, odrzekł goniec.

— Więc nasi mężowie nie wrócą? — zawołały chórem niewiasty.

— Z całego wojska nikt pod srogą karą nie ma ruszać się do domu, tylko ja jeden wybrany zostałem, aby donieść o wzięciu Kijowa, i wraz gonię z powrotem do króla.

Skłonił się i wyszedł. Po komnacie nieme rozeszły się spojrzenia, poczem rozległy się westchnienia, które niebawem w płacz i jęk niewieści zamieniły się. Rycerz tymczasem, nie zażywając długiego spoczynku, pogonił w rodzinne swe strony, do swoich, aby zaraz potem podążyć do Kijowa.

Szybko rozeszła się po Krakowie wiadomość o przybyciu królewskiego posłańca. Zewsząd zbiegali się na zamek, każdy rad go widzieć, rad go spytać, ale nikt go nie ujrzał, bo rycerz teraz może doganiał rodzinnej zagrody, a może już z powrotem był wśród drogi ku Kijowu.

Wieść biegła z ust do ust, dobiegła też i do Stanisława, Biskupa, który wraz pospieszył na zamek. Na wiadomość o nieprędkim powrocie króla, pocieszył królowę, poczem wrócił

do siebie, naznaczył nabożeństwo za poległych w wojnie, za pomyślność królewską i szczęśliwy jego powrót.

III.

Przeszła śnieżna zima, stopniały już lody, wody do rzek wiele przybyło, a od Kijowa nic nie widać, mało słychać. Dziwnem było niewiastom, czemu tak długo przesiadują ich mężowie i to je często dręczyło. Czasem wiatr doniósł im od Kijowa, że gościnni Rusini hojnie podejmują Lachów, to znów, że król, ów mężny rycerz, baczny wódz, teraz oddany zabawie i rozpuście, nie postanie w obozie; że za przykładem pana swego, co wesoło bawił się, poszli rycerze, a kiedy niedogodnie im było z pancerzami, na bok je odsunęli, a z nimi i serca dzielne.

Gdy król tak bawi z rycerstwem na Rusi, w Polsce tymczasem nie najlepiej się dzieje. Kraj bez wodza, młodzież dorastająca bez dozoru, płeć słaba bez podpory, poddaństwo bez zwierzchności z prawej poczęło zbaczać drogi. Niewiasty, z początku zajęte domową pracą, nie mogąc doczekać się powrotu mężów i braci, sprzykrzyły sobie ciche życie i pomału za zabawą i pociechą poczęły się wychylać za domowe progi, przy rodzinnym stole przyjmować licznych a nie zawsze godnych gości. Niektóre zaparły się wszelkich cnót domowych, a ile było takich, co w mniemaniu, że małżonkowie ich poginęli na wojnie, wchodziły w nowe związki!

Jak rzadko w Polsce słychać o Lachach w Kijowie, tak rzadsze jeszcze z kraju do Kijowa przybywają wieści. Trapiło to i niepokoiło rycerzy. Lecz zawiał wreszcie wicher od zachodu, niesie na swych skrzydłach wiadomości z kraju, ale nowiny okropne bezrządu na dworcach rycerzy.

Wspomnienie rodzinnego kraju obudziło się w rycerstwie, odrodziła się w niejednym dawna miłość do lubej żony, do miłych dziatek. Ujęci żalem, gniewem, zazdrością i rozpaczą, biegną małżonkowie do króla, ale Bolesław ani słuchać chce ich skarg i próśb. Zatrwożeni wieściami rycerze polscy, nie zważając na gniew i srogość kary, jaka spotkać ich może. porzucają chorągwie bez pozwolenia królewskiego i na wyścigi wracają do kraju niemi i ponurzy. Przykład pociąga drugich i wkrótce król z garstką tylko swoich zostaje w Kijowie. Nadciągnął wreszcie do Krakowa i sam Bolesław. Niepohamowany w gniewie, rozkazał pochwytać tych, którzy dali pochop do ucieczki; jednych ukarał śmiercią, drugich powtrącał do wię-

zienia i wyzuł z posiadłości; wreszcie sam, zamiast być ludowi przykładem, zapomniał się... Surowo napomniany przez Biskupa św. Stanisława Szczepanowskiego, nie zna granic i w uniesieniu zapalczywości dokonuje strasznej zbrodni, bo w krakowskim kościółku św. Michała (na Skałce) zabija św. Biskupa.

Zbrodnia nie uszła bezkarnie hardemu mocarzowi. Duchowieństwo, rycerstwo, lud cały odwrócił się od ulubionego monarchy.

A po mieście słychać było, że na Mazowsze napadli Rusini, że Izasława zabito, a Wszewołod znów w Kijowie panuje, że Przemyślanie bunt podnieść mieli, aby uchylić się od zwierzchnictwa Polski. Król Bolesław miał wysłać na nich wojsko, ale sam nie wyruszył w pole, bo po takiej zbrodni, jakiej się dopuścił, jeszcze ręka jego nieprzyjaciela nie tknęła; mówiono, że król, znękany zgryzotami sumienia, jest smutnym i jakby pokutującym.

IV.

Nad brzegiem Wisły siedzi dwóch młodych parobczaków od włóczków;*) spracowani zażywają odpoczynku i cicho coś gwarzą między sobą:

— Czyście słyszeli o cudach, jakie się na Skałce pokazują? Ongi w nocy, kiedy nasz stary wracał koło kościoła, widział cztery światła, które biegały na świętem miejscu, kędy — obejrzawszy się, rzekł ciszej — leżały członki Biskupa Stanisława.

— Iwonie, powiedzcie mi prawdę, ażali prawdziwie cztery orły stróżowały nad członkami jego?

— Iście, jak Bóg żyw na niebie — odrzekł tenże.

— Miły Boże! jakto z Twojego rozkazania i zwierzę przeinaczy żarłoczność swoją.

— Wczoraj słyszałem, iż dziad kościelny w grodowej świątnicy ujrzał cień świętego męża, jako spoczywał na kamieniu po nad grobem swym.

— Zamilknij Iwonie, bo bieży ktoś brzegiem ku nam.

Za chwilę wyszedł z chaty stary włóczek; wąs siwy, cera zdrowa nadawały mu silną postawę.

— Dalej chłopcy! — rzekł — spuścić łodzie; hejże, do wiosła.

A gdy go spytał jeden z młodszych, czemuby zamiar połowu ryb zmienił, brząknął mieszkiem i pokiwał głową:

---

*) Włóczkami nazywano ludzi, którzy trudnili się rybołowstwem, później także tych, co spławiali drzewo na Wiśle.

— Dziś łodzie nie nam służyć będą — i kiwnął ręką w stronę, którą dworzanin królewski codopiero odszedł.

* * *

Wisła toczy się jak toczyła, księżyc wysunął się na niebo i odbija w srebrzystych jej falach. Nad wodą stał stary włóczek i jego towarzysze. Zdaje się, że czekali na kogoś, bo często poglądali, czy kto nie bieży drogą.

Nareszcie słychać lekki tentent i ukazało się pięciu jeźdźców. Gdyby jasno świecił księżyc, może kto mógłby rozpoznać ich twarze. Ale jednego rycerza nie spuszczona przyłbica, popatrzmy mu w oblicze: to król Bolesław! Gdzież on tak późno się zbiera? dokąd dąży w tak nielicznem otoczeniu?

Nadjechali do łodzi. Księżyc zaświecił i poznałeś w królewskich towarzyszach Wszebora i trzech innych dworzan królewskich.

Dwaj rybacy odebrali konie i wprowadzili je na łódź osobną, na drugiej siedli dwaj dworzanie z młodym włóczkiem, a na najobszerniejszą łódź wprowadzono króla, Wszebora i młodego giermka. Skoro zbliżył się król do rybaków, spuścił przyłbicę, a okrywszy się płaszczem, usadowił w końcu łodzi, niedaleko Wszebor, przy sterze łodzi Iwon, a na przodzie giermek i stary włóczek.

Dokoła panował spokój; wiatr nie chce igrać z falami i na łodziach cicho, kiedy niekiedy posłyszysz tylko rżenie koni lub lekką rozmowę między dworzanami, ale tak, że stojący przy sterze włóczek nic z niej się nie dowie. W tej chwili wyszedł znów księżyc z za ciemniej chmury i odbił się po wiślanej wodzie. Dworzanie już nie gwarzą, ale poglądają na coraz niknący Kraków spojrzeniem, jakiem darzymy, gdy kogoś nieprędko już zobaczymy. A król i Wszebor, obaj jakby zmartwiali, zatopili się w myślach i jak posągi stali niemi — ponurzy.

Wczesnym rankiem ciekawa gawiedź Krakowa zaczęła się gromadzić i gwarząc o dziennych wypadkach domyśla się przyczyny królewskiego odjazdu i znów rozmaite głosi wieści. A Bóg jedyny wie, kędy popłynął król Bolesław. — Może popłynął daleko i przeprawi się na drugi brzeg i pobieży w milszą a przychylniejszą mu węgierską krainę, a może w dalekim klasztorze szukać będzie spoczynku.

Zapadła zasłona na dalsze koleje życia króla, nawet rodzaj i czas jego śmierci niewiadomy jest z pewnością. Są po-

dania, że zarażony jakimś wrzodem wpadł w szaleństwo i nędznie umarł, podług innych, gdy spadł na łowach z konia, własne go psy pożarły. Inni twierdzą, że był w Rzymie i uzyskał przebaczenie Stolicy Apostolskiej, nie wrócił jednakże do Polski, lecz został pokutnikiem w klasztorze Ossyach w Karyntyi; nikomu nieznany, chętnie pełnił najniższe posługi i tam wreszcie umarł.

Tymczasem, gdy rozeszła się wieść o królewskim odjeździe, wyprawiono posły do brata jego księcia Władysława; przybył też i później objął rządy kraju, ale nie ozdobił czoła koroną Bolesławową i nie ogłosił się królem.

Obchód świąt Bożego Narodzenia u Bułgarów.

Bułgarya sama to kraik nie wielki, a graniczy z Turcyą i Serbią, przy której znajduje się na południowy wschód, nad rzeką Dunajem. Bułgarowie jak i Serbowie należą do ludów słowiańskich, bo i oni mają język i zwyczaje podobne do innych Słowian.

Niniejszem opiszemy tylko, jak obchodzą oni święta Bożego Narodzenia.

Przygotowania do obchodu świąt Bożego Narodzenia zaczynają Bułgarowie od 20 grudnia, w którym według ich kalendarza przypada święto św. Ignacego. Wtedy to biją oni świnie i robią z nich kiszki i kiełbasy na świętą. Chłopcy zaś i dziewczęta chodzą tego dnia po chałupach i mówią:

— Święty Ignacy przyszedł i powiada, że dziad „Kolęda“ już wybrał się w drogę i niezadługo do naszej wsi dojdzie.

Wchodząc przytem na podwórze pieją i gdaczą, jak kury, co usłyszawszy gospodyni wychodzi do nich, woła na nich jak na kurczęta i obsypuje jęczmieniem lub suszonymi owocami, albo też wprost daje parę groszy.

Dnia 24 grudnia, to jest w samą wigilię, wszyscy myją się, czeszą i obłóczą w świąteczne odzienie. Chłopcy zaś chodzą znów po domach z tak zwaną „Kodarką“ t. j. rózgą, a uderzywszy nią parę razy w podłogę tego domu, do którego przyszli, oznajmiają, że „Bóg się rodzi“. Za tę wiadomość dostają znowu po kilka groszy i obwarzanek.

Skoro się tego dnia zmierzchnie, wtedy Bułgarowie tak jak i Serbowie, zapalają pniak drzewa, który tam nazywa się „badniak“. Badniak ów powinien się palić całą noc, bo jak zgaśnie — to powiadają — zły rok będzie.

Zabobon ten i taka wróżba z ognia, zapewne pozostały Bułgarom z czasów pogańskich, zkąd wiele obrzędów do dzisiejszego dnia i u nas się nawet przechowało. Naprzykład wszelkie składanie życzeń i kolędowanie po domach, za co kolędnicy dostają datki, przeszło do nas od naszych przodków pogan, którzy w tym samym czasie, kiedy przypada obecnie Boże Narodzenie, obchodzili święto bożka Kolady, którego obwożono po domach i zbierano dlań dary.

Wigilijna wieczerza u Bułgarów nazywa się „badna weczera“. Kiedy się do niej zabierają, na niskim stole kładą biały chleb zwany przez Bułgarów „bogowicą“. W tym chlebie, tak jak w serbskiej „cześnicy“, zapiekają oni złoty lub srebrny pieniądz. Tak samo też oni, jak i Serbowie, temu, komu się pieniądz dostanie, wróżą, że będzie miał szczęście.

Prócz bogowicy, podają na stół gotowane zboże z miodem, owoce, orzechy, soczewicę i wino. Najprzód jeden gospodarz odmawia modlitwę, a wziąwszy kadzielnicę, okadza stół, kąty izby, oborę, stajnię i chlewy; potem dopiero zasiadają do jedzenia. Starsze kobiety odkładają też po trochu z każdego jadła na lekarstwo, jak gdyby zestarzałe i skisłe jedzenie mogło rzeczywiście co poradzić w chorobie. Resztę pozostałego jadła stawiają pod obrazami. Zaś słomą, która podczas wieczerzy leżała pod stołem, nazajutrz przewiązują drzewa, aby obficie rodziły.

Po wieczerzy młodzi ludzie idą winszować sąsiadom i śpiewać kolędy. Po drodze zaś miauczą jak koty, czem ostrzegają, aby pilnowano kiełbas. W wigilię bowiem kradną kiełbasy, a jak się kradzież powiedzie, śmieją się i żartują z tego, kto się okraść pozwolił.

W pierwszy dzień świąt chłopcy bułgarscy kolędują u krewnych i znajomych, za co dostają krajwacze czyli kołacze. Młode zaś niewiasty noszą napoje i jedzenie kumom, świekrom i drużbom, za co nawzajem otrzymują od nich takież podarki.

Taki postnik czyli ową „badną weczerę“ jedzą Bułgarowie także w ostatni dzień starego roku. Tylko że wtedy do zwykłych potraw dodają jeszcze pieczoną głowiznę wieprzową i takiż piróg, w którym już nie jeden, ale kilka pieniędzy się znajduje. W sam zaś Nowy Rok chłopcy winszują urodzajów i długiego życia, przyczem uderzają gospodarza cierniową gałązką. Gospodarz zaś na owej gałązce na podziękowanie za życzenia, przywiązuje na czerwonej nitce jakiś pieniądz. Tak samo też winszują dorośli parobcy, a nawet i du-

chowni bułgarscy po nabożeństwie składają parafianom życzenia, za co otrzymują od ludzi podarki.

Wieczorem młodzież zbiera się, aby wrzucać do kotła i wyjmować następnie z niego różne rzeczy i z tego wróżyć, za kogo dziewka za mąż pójdzie lub z jaką się parobek ożeni. Zabawiwszy się w ten sposób, tańczą potem i śpiewają do rana.

W przeddzień Trzech króli, prawosławni bułgarscy kapłani chodzą święcić po domach, a mężczyźni dają im za to pieniądze, wrzucając je do kociołka ze święconą wodą. Kobiety zaś dają duchownym krajwacze czyli kołacze, a także wełnę, czasem zaś i kiełbasy. Przez cały ten dzień Bułgarowie poszczą, a dopiero wieczorem jedzą po raz trzeci podczas świąt swoją „badną weczerę“.

Po nabożeństwie, podczas którego odbywa się procesya do rzeki, na pamiątkę, że Chrystus Pan był w rzece Jordanie ochrzconym, ludzie idą nad wodę. Rodzice myją głowy dzieciom, dziadkowie wnukom, a drużbowie młodym mężatkom, przy czem dają im srebrny pieniądz, za co nawzajem dostają kwiaty związane czerwoną nitką. Na końcu tej nitki również jest przywieszony srebrny pieniądz. W sam dzień Trzech Króli młode mężatki myją głowy swym drużbom i znowu dają sobie podarki.

Anioł u żłóbka.

— Ja się boję, ojcze, słyszysz szum wiatru, huk i łoskot burzy?

— Śpij najmilsza moja... jutro się rozpogodzi i burza ustanie...

— Nie mogę spać, ojcze, bo mię wszystko boli...

Słowa te przeszyły serce biednego ojca... spuścił głowę, by ukryć łzy płynące po twarzy.

Niestety! Od dawna już mała Marynia nie mogła spać w nocy; niszcząca choroba, którą wzięła po matce, przykuła ją do łoża boleści... męczący kaszel, co chwilę rozdzierał jej piersi, a pot kroplisty oblewał jej piękną twarzyczkę...

Biedne dziecię! ale biedniejszy ojciec!... Jedną tę córkę na świecie mając, kochał ją najczulszą miłością... Jakiemże staraniem ją otaczał!... Wezwał do niej najbieglejszych lekarzy, najsławniejszych doktorów.

— Ratuj moją córkę — rzecze do jednego — dam połowę majątku!

Lekarz się skłonił, podziękował, ale dziecięcia nie wyleczył.

Od kilku dni choroba się powiększyła, blade lica dzieweczki przybierały czasami siniawą barwę — smutne zwiastuny śmierci. Ojciec na chwilę od niej nie odstępował, straszna boleść rozdzierała mu serce. Biedny ojciec! tembardziej był nieszczęśliwym, że mu brakło jedynej pociechy, jaką Opatrzność zostawia cierpiącym: brakło mu wiary.

Chociaż po chrześcijańsku wychowany, pan B. od dawna już zapomniał drogi do kościoła, od zwątpienia przyszło do zupełnego niedowiarstwa. Bezbożne dziennikarstwo, któremu talent swój poświęcił, wydarło mu z serca ostatnie zarody cnoty. Widział odchodzącą do nieba młodą małżonkę, pełną wiary i pobożności, ale ta śmierć nie rozbudziła w nim wygasłych uczuć, a oto Pan Bóg znowu się przypomina, zabierając mu jedyną ukochaną córkę.

Długie milczenie zaległo w pokoju słabo oświeconym bladem światłem lampy. Jedenasta wybiła na zegarze, a wnet dzwony kościelne rozbrzmiały w powietrzu, głosząc wesołym dźwiękiem świętość tej nocy.

Boże Narodzenie! śpiewały dzwony; Boże Narodzenie! Powstańcie wierni, przybiegajcie do stóp ołtarzy. Oto dzień święty! dzień nader wielki! Boże Dzieciątko się narodziło! przybiegajcie wierni, pokłon Mu oddajcie.

I usłyszano ten głos niebiański... bo nagle okna w pustych ulicach zajaśniały światłem, czarne cienie migały za firankami, wszyscy spieszyli na Pasterkę.

Marynia westchnęła i z czułością spojrzała na ojca.

— Słyszysz ojcze? — szepnęła zcicha.

— Słyszę najmilsza moja; dzwony przeszkadzają ci spać!

— Ach! nic to ojcze, rzecze dziecię, kładąc rękę na piersiach, które wewnętrzny ogień pożerał. Przeszłego roku o tej porze ja nie byłam chorą i wiatr tak nie szumiał... Mama była jeszcze z nami... Ach! jakiż to piękny był dzień, ojcze, pamiętam go dobrze!.. Mama wstała bardzo rano, kazała mię ubrać, bo chciała mię z sobą wziąć do kościoła. Jam się bardzo ucieszyła, chociaż było zimno i śnieg padał jak teraz. Teresa wzięła mię na ręce i zaniosła do kościoła Dzieciątka Jezus. Ach! ojcze, jak tam było pięknie! Tyle światła, tyle kwiatów przy żłóbku! Wszystkie dzwony dzwoniły, w kościele pełno było ludu, a tak pięknie śpiewali!.. Mama zbliżyła się do żłóbka, pokazała mi Dzieciątko leżące na słomie. Malutki Jezus taki piękny patrzył na mnie z uśmiechem, jam Go zaraz pokochała... Ach! jakżebym chciała jeszcze Go widzieć!

— To niepodobna — najmilsza moja — słyszysz jak wiatr szumi i śnieg pada na dworze?

— Śnieg padał i przeszłego roku.

— Tak jest — aleś ty nie była chorą.

— To prawda — odrzekło dziecię ze smutkiem.

Dzwony umilkły. Słychać było na ulicy turkot powozów i szmer ludzi spieszących na Mszę świętą. Od czasu do czasu bramy domów z trzaskiem się zamykały.

Dzieweczka znowu się odzywa:

— Ojcze, czy Dzieciątko Jezus jest i tego roku w kościele?

— Pewno że jest.

— Zkądże to wiesz — ojcze?

— Bo jest każdego roku.

— Czyś je widział?

— Tak... ale już dawno — odpowie pan B... nieco zakłopotany.

— Ach! żebyś był tak dobrym, — mówiło dziecię, składając rączki, żebyś był tak dobrym!...

— Mów — mów prędzej, — czego chcesz najmilsza moja?

— Chciałabym, żebyś poszedł do kościoła, żebyś mi powiedział, czy tam jest malutki Jezus na sianku, czy tak samo jest wiele kwiatów i wiele światła przy Żłóbku!

— Ależ nie mogę cie porzucić w tej chwili, droga Maryniu, któż tak będzie czuwał nad tobą, jak twój ojciec?

— Teresa przez ten czas posiedzi przy mnie.

— I to ci sprawi przyjemność, kiedy ja pójdę do kościoła?

— Największą przyjemność! — drogi ojcze. Mama mówiła, że Żłóbek Dzieciątka Jezus tylko raz do roku na Boże Narodzenie wystawiony jest w kościele.

— I ty wiesz, że dziś Boże Narodzenie?

— O tak, wiem dobrze.

— Więc pójdę do kościoła jak będzie dzień.

Dziecina spuściła główkę i łza błyszcząca spłynęła po jej wybladłem licu.

— Także to płaczesz — pieszczotko moja — zawołał ojciec całując ją; — chcesz, żebym zaraz odszedł od ciebie?

— Żebyś tylko poszedł do kościoła, — odpowie dziecina z czułem wejrzeniem.

Ojciec zadzwonił: Teresa przelękniona przybiega.

— Zostań przy Maryni, rzecze krótko; ja zaraz wrócę.

— O jakżeś dobry ojcze! — rzecze dziecina wesoło — jakżeś dobry!

Teresa usiadła przy łóżeczku, a chora zamknęła oczy.

W kwadrans później pan B. przyszedł do kościoła Dzieciątka Jezus.

Tłumy pobożnych zalegały obszerną świątynię. Wspaniały organ brzmiał cudnymi tony; czasami był to głos potężny jak huk uraganu, to znowu słodki i wdzięczny, albo rzewny i tęskny, jakby jęk pokutującej duszy... W obłokach wonnego kadzidła wznosił się ołtarz jaśniejący tysiącem światła, ślicznie ozdobiony w kwiaty i rośliny egzotyczne.

Pan B. z zadartą głową przeszedł przez kościół, zbliżył się do presbiteryum, gdzie w ogródku kwiatów i krzewów mile wabił żłóbek Dzieciątka Bożego.

— Kaprys dziecinny — myślał sobie — przysłać mię tu o tej godzinie... Wszakże, jeżeli ją choć na chwilę rozerwę — mniejsza o to.

To mówiąc pan B. dumnym wzrokiem spoglądał około siebie. Widział tłumy wiernych z anielską gorliwością, z pochylonem czołem, z rękami złożonemi, zatopione w modlitwie. Msza św. już była zaczęta, kapłani w najbogatsze szaty przybrani, sprawowali święte Tajemnice. Rzewne pienia kościelne łączyły się z chórami Aniołów, śpiewających wieczne hosanna! w przybytkach światłości...

Na sianku złożone dzieciątko, słodki obraz Dzieciątka Jezus, uśmiechało się do każdego, wyciągając drobne rączęta, jakby całą ludzkość do Bożego serca swego przygarnąć chciało. Pan B. długo się mu przypatrywał. Dziwne wzruszenie wstrząsało jego duszą... Wzrok jego mimowolnie się zwracał to na kapłana, odprawiającego Mszę św., to na Boże Dzieciątko, wyciągające rączki ku niemu...

Chciał się otrząsnąć z tego upojenia, chciał wyjść z kościoła, obrócił się, ale nie mógł, lud klęczący zalegał świątynię.

W tejże chwili kapłan odszedłszy od ołtarza, stanął przy kratkach, przeżegnał się i tak przemówił:

— „O wy wszyscy, którzy cierpicie, pójdźcie do mnie, a ja was pocieszę“.

Na te słowa zadrżał nieszczęśliwy ojciec... mimowolnie postąpił naprzód, żeby lepiej słyszeć... Ze wzruszeniem przyjmował rosę niebiańskiej pociechy, spływającej w zbolałe jego serce, a gdy głos kapłana przebrzmiał, on jeszcze w głębokiem zamyśleniu nieruchomy pozostał...

Gdy nadszedł czas Komunii św., tłumy pobożnych przystępowały do Stołu Pańskiego. Pan B. widział ich promieniejących wiarą, nadzieją, miłością, a nadewszystko świętem we-

selem... przypomniał dawne lata młodości i ten dzień szczęśliwy, kiedy sam był uczestnikiem niebiańskiej uczty... Ujrzał w duchu swą matkę, świątobliwą niewiastę, ukochaną małżonkę, myślał o jedynaczce córce, gasnącej na śmiertelnej pościeli, i niewymowna boleść ścisnęła jego duszę.

Gdy podniósł głowę, kościół był pusty, światło pogaszone, tylko żłóbek Bożego Dzieciątka jak gwiazda pociechy jaśniał wśród ciemności...

Pan B. zbliżył się do kratek — ukląkł:

— Boże! zawołał z głębi serca, a potoki łez zalały twarz jego... Boże! któregom tak dawno opuścił, oddaj mi dziecię, a na zawsze wrócę do Ciebie!

Nareszcie wyszedł z kościoła. W krużganku spotkał ubogą żebraczkę, którą hojnie obdarzył jałmużną, i powoli wrócił do domu.

Teresa otworzyła mu drzwi.

— Jak się ma Marynia? były pierwsze jego słowa.

— Spała od wyjścia pańskiego, tylko teraz się obudziła.

Pan B. pobiegł uścisnąć córkę.

— A cóż, zbyt długom się zabawił, nie prawdaż?

— Nie, nie, ojcze, — odpowie dziewczka rozpromieniona radością.

— Tam było tak pięknie! — tak pięknie!

— A tak, Dzieciątko także było — rzecze z uśmiechem...

— Wiem o tem, jeszcze piękniejsze, niż przeszłego roku.

Pan B. spojrzał na nią zdumiony...

— Zkądże to wiesz?

— Bom z tobą ojcze była w kościele.

Ona nieprzytomna! — myśli sobie.

— Słuchaj mię kochany ojcze i powiedz, czy nie tak było: Gdyśmy przyszli, już kościół był napełniony ludem. Grali, śpiewali, Msza św. odprawiała się; poszliśmy dalej, do Żłóbka. Jakże tam wiele było światła, wiele pięknych kwiatów! szczególnie śliczne to drzewo pochylone nad Żłóbkiem.

— Palma — rzecze pan B. coraz więcej zdumiony.

— Tak, palma. Mieliśmy już wyjść z kościoła, gdy kapłan, stanąwszy niedaleko nas, począł mówić. Słuchałeś go uważnie, drogi ojcze, i byłeś bardzo smutny.

Pan B. prawie ze strachem poglądał na córkę.

— A wieszże, co on mówił? — pytał wzruszony.

— Ksiądz powiedział, że Dzieciątko Jezus pocieszy cię.

Pan B. zadrżał.

— Byliśmy jeszcze długo w kościele, — mówiła dalej Marynia; — potem pogaszono światła... a ty ojcze, zbliżyłeś się do Żłóbka, ukląkłeś mówiąc z płaczem: Boże mój, zachowaj mi dziecię, a będę Ci służył do śmierci!

Pan B. krzyknął i zbladł jak trup...

— Tak — ojcze — mówiłeś to... aleś nie słuchał odpowiedzi Dzieciątka Jezus.

— Jakiej odpowiedzi? — O Boże! cóż mogło mi odpowiedzieć? — zawoła pan B. jak w obłąkaniu...

— Malutki Jezus powiedział:

„Przyjdź pierwej do mnie...“

Pan B. nadzwyczajnie wzruszony upada na kolana...

— A gdyśmy wyszli z kościoła — kończyła dzieweczka — dałeś sztukę złota starej Jagusi, mówiąc zcicha: Módl się za mnie i za moją córkę.

Tu już pan B nie mógł się wstrzymać; wziąwszy w swe objęcie dziecinę, tulił ją do serca, rzewne łzy wylewając. .

Dodajmy jeszcze, że tegoż dnia wrócił do kościoła Dzieciątka Jezus i ukląkł przy konfesyonale. Nazajutrz pojednany z Bogiem przystąpił do Stołu Pańskiego z rzewną pobożnością, która była zbudowaniem dla wszystkich obecnych.

Od tego czasu zdrowie dziecięcia znacznie się polepszyło; doktorzy, którzy ją byli odstąpili, nabrali odwagi, i miesiąc nie upłynął, gdy pan B. z córką słuchając w tymże kościele Mszy świętej, dziękował Bogu za jej uzdrowienie.

KOLĘDA!

Na wschodzie już błyska
Złocista gwiazdeczka,
Otoczmy promienny
Żłóbek Dzieciąteczka!
    Wesoło śpiewajmy,
    Chwałę Panu dajmy,
    Hej kolęda, kolęda!

Od dolin wiślanych
Po Sybiru lody,
Po dymy Londynu
Brezylskie ogrody.
    Śpiewa Polska cała:
    Dzieciąteczku chwała!
    Hej kolęda, kolęda!

Od miecza i pióra,
Od stuły i roli,
Od łokcia i młota
Ludzie dobrej woli,
    Ludzie i Anieli:
    Śpiewają weseli
    Hej kolęda, kolęda!

I spieszą narody,
I spieszą mocarze,
Niosąc, na co ich stać
Dzieciąteczku w darze —
    A Dzieciątko patrzy:
    Co niosą Polacy?
    Hej kolęda, kolęda!

I oto wszechpolska
Przybieży gromada,
A zwadę i lekkość
U żłóbeczka składa.
Dzieciątko się śmieje
„Więc miejcie nadzieję“
Hej kolęda, kolęda!

„O Chryste, o Zbawco!
Dodają Polacy
My jeno ufamy
W Tobie i w swej pracy“.
A Pan się rozrzewni
„Bądźcie Polski pewni!“
Hej kolęda, kolęda!

Tak Polacy społem
Wokoło stanęli,
Panu maleńkiemu
Wesoło krzyknęli:
Funda, funda, funda,
Polska risibunda
Hej kolęda, kolęda!

Pl. K.

Kiedy odkryto kopalnie soli w Wieliczce i w Bochni.

O odkryciu kopalń soli w Wieliczce i Bochni nic stanowczego orzec się nie da. Różne są bowiem o tem zdania historyków, ale badając właśnie te zdania można przynajmniej dojść do jakiegoś prawdopodobieństwa, że tak prawdopodobnie było, a nie inaczej.

Według podania ludowego, miała kopalnie soli w naszym kraju odkryć w cudowny sposób błogosł. Kunegunda, żona króla polskiego, Bolesława Wstydliwego, około roku 1252.

Święta ta pani, życząc sobie widzieć kraj polski w szczęściu i ubolewając nad niedostatkiem soli, prosiła Boga najgoręcej o tę sól i łaski dostąpiła, że Bóg jej modły wysłuchał.

Pewnego czasu, gdy ta królowa była na Węgrzech u ojca swego Beli IV., rzuciła swój pierścień do tamtejszych salin. a pierścień ten przez cudowne drogi znalazł się potem w Bochni, lub jak inni mówią w Wieliczce. Gdy bowiem królowa powróciła do Polski i udała się do Bochni, kazała ludziom kopać w pewnem miejscu, a gdy zaczęto kopać, znaleziono wnet bryłę soli, w której, gdy ją rozbito. pokazał się i pierścień królowej.

Zgodnie z tem podaniem pisze i historyk nasz Marcin Kromer w swem dziele: »*De origine et rebus Polonorum*« (O początkach i dziejach Polski), że w roku 1252 odkryto w Bochni kopalnie soli, i że „tę dobroczynność, która nietylko Polsce, ale wszystkim graniczącym krajom bardzo jest pożyteczna, mamy z pobożności i świątobliwości Kunegundy, małżonki Bolesława Wstydliwego“.

Drugi historyk Jan Długosz w swej historyi tak powiada: „W wiosce i polu Bochnia, pięć mil oddalonej od Krakowa, gdzie potem miasto zbudowano, wynaleziono sól twardą roku 1251, która w wielkich kawałkach z ziemi jest wydobywana, a w niektórych miejscach bywa tak biała, że podobieństwo kryształu przedstawia i wielki pożytek krajowi przynosi“.

Samuel Fryderyk Lauterbach w swej kronice z roku 1727 na kartce 373, pomiędzy innemi rzeczami, pisze co następuje:

„Wielkie skarby są w Polsce, saliny w Bochni i Wieliczce, gdyż tam sól, jak wielkie kamienie jest wyrębowaną i rzecz ta pobożnej królowej Kunegundzie jest przypisana między rokiem 1251 i 1252“.

Na to samo zgadzają się i inni dziejopisowie, którzy, chociaż nie wspominają o pobożnem podaniu, dotyczącem błog. Kunegundy, ale odkrycie kopalń w Wieliczce i Bochni kładą między rokiem 1251 i 1253.

Jeden tylko, niejaki Konnor, pisze, że saliny te dopiero w roku 1548 przez jednego szewca były odkryte, który chciał w bliskości domu studnię kopać i na materyą solną natrafił.

Atoli zdanie jego nie ma znaczenia, bo odnosi się ono chyba do odnalezienia kilku szybów, które były zagubione, a nie do odkrycia całych kopalń, które już dawno istniały. Zagubiły się niektóre szyby w kopalniach z tej przyczyny, że przez nieostrożność wpadła iskra w końskie stajnie między słomę, od czego zajęły się saliny i paliły się przez dłuższy czas, przyczem wielu robotników zginęło.

Nie Konnorowi więc nam wierzyć, ale poprzednim dziejopisom. Jednakowoż i zdania Kromera i Długosza, jakoby saliny bocheńskie i wielickie były odkryte w roku 1252 lub 1251 nie wytrzymują ścisłej krytyki.

Sam Długosz powiada, że książe Henryk Brodaty w swem miasteczku Krośnie z tych kopalni solnych użytkował, a ów Henryk umarł w roku 1238, a więc kopalnie te musiały istnieć na 14 lat pierwej.

Że saliny wielickie i bocheńskie jeszcze i przed Henrykiem Brodatym istnieć musiały, to na to są jeszcze i inne dowody.

Klasztor PP. Benedyktynek w Staniątkach koło Wieliczki posiadał swego czasu i zapewne dotąd posiada, dwa oryginalne przywileje. Jeden z nich nadany był klasztorowi w roku 1232 przez księcia Konrada Mazowieckiego, a drugi w roku 1248 przez Bolesława V., syna Leszka Białego. Na mocy pierwszego przywileju pobierał klasztor tygodniowo miarkę warzonki ze

salin bocheńskich, a drugi przywilej nadawał klasztorowi prawo pobierania jednego bałwana, także ze salin bocheńskich, z czego widać, że saliny bocheńskie istniały na 20 lat przed rokiem 1252.

Długosz pisze jeszcze, że książe Kazimierz Sandomierski jeszcze w roku 1176 udzielił soli klasztorowi OO. Cystersów w Sulejowie, a kiedy tak, to kopalnie istniały jeszcze o 76 lat wprzód, bo inaczej darowizna nie mogłaby być uskutecznioną. Jak więc Długosz mógł tak bałamucić i odnosić czas odkrycia kopalń w Wieliczce i Bochni na rok 1251, a równocześnie pisać, że już w roku 1176 OO. Cystersi w Sulejowie mieli przywilej na sól z tychże salin, — tego pojąć nie można.

Z dzieła ks. Stanisława Szczygielskiego, bibliotekarza przy klasztorze OO. Benedyktynów w Tyńcu, dowiadujemy się, że kopalnie wymienione istniały jeszcze o 208 lat wcześniej, gdyż klasztor tyniecki, wystawiony w r. 1044 był obdarzony solą.

Z tego wszystkiego widać, że saliny w Bochni i Wieliczce są bardzo dawne, dawniejsze po nad rok 1252. Wiadomości pewnej o ich początku nie mamy, bo Polska, będąc przedmurzem chrześcijaństwa, ciągle musiała się bronić przed napadami ościennych wrogów, zwłaszcza przed Tatarami, a podczas tych zamieszek i dokumenty ginęły i ludzie, a z ludźmi i pamięć o dawnych zdarzeniach.

Co się zaś tyczy podania, jakoby błogosł. Kunegunda owe kopalnie odkryła i sprowadziła sól z Węgier do Polski, to można sobie to podanie tak wytłómaczyć, że królowa ta długo zaniedbane kopalnie po napadach tatarskich, kazała na nowo odkopać i sprowadziła ku temu z Węgier górników, więc poniekąd je odkryła.

Prawdopodobniejszem atoli jest, że może więcej niż na 200 lat przedtem ktoś kopiąc ziemię przypadkowo na sól natrafił, co nie było zbyt trudnem, skoro już na 15 sążni pod powierzchnią ziemi zaczynają się formacye soli.

Zresztą wyżej wymienione dokumenty klasztorne wyraźnie pokazują, że saliny te istniały od dawna, bo od roku 1044, a może i wcześniej.

O chorobie zwanej „kołtun“.

(Uwagi pewnego kapłana).

Bardzo powszechnem między ludem cierpieniem jest choroba, zwana „kołtunem“. Przy leczeniu tej choroby dopuszczają

się ludzie po wsiach różnych zabobonów, a przytem leczą ją tak, że często chorego wpędzają w jeszcze większe boleści lub przyspieszają śmierć.

Gdy kto zachoruje na „kołtun“, to ludzie zaraz narzekają na kogoś i mówią, że ten lub ta, to cierpienie zadali. Pochodzi to ztąd, że lud nie zna źródeł i przyczyn tej choroby, więc przypisuje ją czarom, co jest wielkim błędem i obrazą Boga.

Nie tylko atoli lud, ale i lekarze nie znają dobrze tej choroby, gruntownie jej dotąd nie zbadali, niektórzy z nich wcale w istnienie „kołtuna“ nie wierzą, inni wreszcie przypisują zwijanie się włosów na głowie tylko niedbalstwu i niechlujstwu.

Inaczej jednak zapatruje się na tę słabość wielu księży, którzy między ludem przebywają i na tę chorobę patrzą. Według mnie choroba „kołtun“ wynika z zakażenia krwi i porażenia soków organicznych. Ludzie bowiem dobrze zbudowani, zdrowi i korpulentni prawie nigdy tej chorobie nie podlegają, lecz przeciwnie osoby wątłe, blade, nerwowe i z upośledzenia skrofuliczne.

Splot włosów, jaki się na głowie pojawia, to nie sama choroba, to tylko jej owoc, który się objawia po długich poprzednich dolegliwościach. Wprzód lub dłużej choroba nurtuje organizm człowieka, poczem dopiero okazuje się zwijanie włosów na głowie.

Czasami włosy wcale się nie zwijają, a chory długo cierpi i nieraz do grobu idzie. Objawy, zapowiadające chorobę „kołtunową“, choć na głowie jeszcze śladu nie ma, są mniej więcej takie: częsty ból głowy, szum, kłócie, a czasem płynienie z uszu; częste zapalenie oczu, dławienie w gardle, częste boleści i rozpieranie w piersiach, tłoczenie i ból w dołku piersiowym, częsta lub ciągła zgaga, tępy ból w bokach, krzyżach, lub pod łopatką, czasem łamanie i darcie po kościach, szczególnie na zmianę powietrza i częste żółciowe wymioty.

Do tego tacy chorzy mają częste zachcianki rozmaitych rzeczy niezwykłych do jedzenia lub picia, drażliwi są i tęskniący, a nieraz miewają opaczne i bluźniercze myśli o Bogu i o rzeczach świętych.

Wszystko to razem składa się na wielką boleść cielesną i duchową, chociaż we włosach niema jeszcze śladu zwijania. Jedni cierpią jedne z wyliczonych objawów, inni wszystkie razem. Nieraz ta choroba całe lata męczy człowieka, bez zwicia włosów.

Jeżeli kołtun zacznie się wić na głowie, to w miarę, jak zwijanie się włosów rośnie, zmniejszają się cierpienia cielesne, tak, iż zdaje się, że cała choroba wchodzi we włosy.

Jeżeli się tego splotu niczem nie drażni, to człowiek będzie wprawdzie nosił brzydotę na głowie, ale powoli może przyjść do zupełnego zdrowia. Lecz nierozsądek ludzki najczęściej temu przeszkadza, bo zdarza się, że zawcześnie obcinają choremu włosy, przez co choroba się wraca i chory albo staje się na całe życie kaleką, albo przed czasem idzie do grobu.

Bywają wprawdzie wypadki, że po dłuższem noszeniu, a więc niejako dojrzeniu, splot włosów obcięty choremu nic nie szkodzi, ale to rzadkie wypadki. Gdy czasem po obcięciu włosów choroba się nie wróci, to ludziska przypisują to szczęśliwej ręce, lub temu, że to w taki a taki sposób się stało, że wymawiano takie a takie przy tem słowa, no, i chory ozdrowiał, czyli innemi słowy uleczenie w tym wypadku przypisują zabobonowi, i zabobony te potem na innych chorych praktykują ze szkodą dla nich i z obrazą Boga.

Nieraz chory już zupełnie przyszedł do zdrowia, gdy mu się kołtun wywił. a po odcięciu w tej chwili się kładzie napowrót do łóżka i następują straszne objawy powrotu choroby, mianowicie: ciężki ból głowy, zapalenie oczu nieraz aż do zaślepnięcia, wydobywanie się z uszu cuchnącego odpływu, często ogłuszenie, a nieraz i waryacya.

Nadto na ciele pokazują się rany ropiące i cuchnące, kości próchnieją, tak, że taki nieszczęśliwy więcej podobny jest do trupa, niż do żyjącego człowieka.

Nie należy przeto „kołtuna“ przed czasem obcinać, ani nie godzi się używać przy tem czarów i zabobonów.

Przyczyny tej choroby są różne. Jedni przychodząc na świat przynoszą z sobą zakażoną krew. powziętą z rodziców, jako skrofuły, a inni nabawiają się go przez nędzne, nieposilne pożywienie, przez mieszkanie ciasne i duszne. Bywa i tak nieraz, że całe wsie nawiedzone są tą chorobą i osoba najzdrowsza, przybyła z innych okolic, dostaje kołtuna, a wtedy przyczyną są albo bliskie miejsca błotniste, a najczęściej zła woda, która zgubnie działa na krew i wywołuje chorobę.

Lekarstwa pewnego dotąd na tę chorobę nie ma, tylko środki krew przeczyszczające mogą przynieść w dolegliwościach ulgę, a nieraz i zupełne zdrowie. dopóki choroba zanadto się nie wzmogła.

O ile dotąd słyszałem, to skutecznem na kołtun lekarstwem ma być odwar zrobiony z perzu, który się wlecze

za broną i z ziela, zwanego barwinek. Odwar robi się z obu tych środków razem gotowanych i pije się po kilka szklanek na dzień jako herbatę przez kilka tygodni. Oczyszcza on krew i wypędza chorobę na wierzch w kształcie wymiotów, krost lub wrzodów i pomaga zwinąć się włosom.

Wszystko to jednak trzeba zrobić w początkach choroby, a przytem zachować dyetę w jedzeniu i nie pić wódki, bo kto w tej chorobie pije wódkę, ten wkrótce dostaje opuchliny i wnet umiera.

Otóż z tego, co powiedziałem wynika, że kołtun pochodzi nie z jakichś czarów i „uczynień“, ale z zakażenia krwi i soków organicznych w człowieku, a to z różnych przyczyn, nieraz z własnej winy chorego. *Ks...*

Uroczystość październikowa

w kościele OO. Dominikanów w Krakowie.

Od dawien dawna, bo od niepamiętnych czasów odbywała się w październiku po kościołach OO. Dominikanów ośmiodniowa uroczystość ku czci Matki Bożej Różańcowej. Od czasu zaś, kiedy Ojciec św. Leon XIII. zalecił całemu światu katolickiemu, by przez cały miesiąc październik modlili się wszyscy wierni do Królowej Różańca św., odtąd i po kościołach Dominikańskich nabożeństwo Różańcowe odprawia się przez cały ten miesiąc z jak największą uroczystością.

A trzeba przyznać, że w całym naszym kraju, nigdzie może to nabożeństwo nie odbywa się tak wspaniale, jak w kościele OO Dominikanów w Krakowie.

Tutejsi OO. Dominikanie, duchem swego Zakonodawcy św. Dominika. głęboko przejęci, nie szczędzą ni kosztów, ni trudów i pracy, by tylko Królowej Różańca św. przysporzyć jak najwięcej czci, i jak najwięcej u Niej łask wyjednać dla biednego narodu polskiego.

To też, gdy nadejdzie październik, wspaniała i olbrzymia świątynia Dominikańska w Krakowie, nieraz pomieścić nie może pobożnych. bo kto tylko ma odrobinę wiary w sercu i iskierkę miłości ku Bożej Matce Różańcowej, spieszy do tej świątyni, by westchnąć do Maryi. a potem uklęknąć przed konfesyonałem i duszę swą oczyścić.

A nie mało takich bywa. bo n. p w październiku tegorocznym przystąpiło do Stołu Pańskiego przeszło 22 tysiące osób. Pracowali OO. Dominikanie, pracowali od świtu do zmroku, a lud garnął się do źródła oczyszczenia i wychodził z świątyni z duszą oczyszczoną i z podzięką dla gorliwych pracowników Bożych. Pomagali OO. Dominikanom

w słuchaniu spowiedzi św. raz na tydzień XX. Katecheci krakowscy, za co i im należy się podzięka.

Ludu pobożnego nigdy przez cały miesiąc nie brakło w świątyni, a w niektórych dniach i ściany kościoła zdawały się za ciasne, zwłaszcza gdy przybyły kompanie z okolicznych wsi i z dalszych stron kraju i ze Szląska.

W tym roku do wspaniałości nabożeństwa przyczyniło się i to, że Książę-Biskup krakowski zezwolił na teraz i na przyszłość, aby w niedziele i święta przypadające w październiku. wystawiano Najśw. Sakrament w czasie Sumy i Nieszporów, czego przedtem nie było.

Zakończenie nabożeństwa odbyło się w dzień Wszystkich Świętych, a odprawił je ks. prałat Matzke, który od 20 już lat na to zakończenie nabożeństwa celebruje.

Oby Bóg dał, aby ludzie i nadal garnęli się tak ochoczo i licznie jak dotąd, do Matki Bożej Różańcowej, i aby jak najrychlej nadeszła ta chwila, żeby można ukoronować obraz Matki Bożej Różańcowej, słynącej łaskami w kościele OO. Dominikanów w Krakowie. Czciciele Maryi niech się modlą o to, a że każdy Polak jest sługą Maryi. więc wszyscy się módlmy!

O ś. p. Walerym Szafrańskim,

wójcie i dzierżawcy gminy Rudka koło Tarnowa.

(Spóźnione).

Parę miesięcy temu umarł w Rudce blisko Tarnowa ś. p. Walery Szafrański. Któż on był? Nazwisko „Szafrański“ w okolicy znaczyło tyle co: dobrodziej, doradca, opiekun, wszystko dla wszystkich. Potrzebowałeś rady? Szafrański ci jej udzielił; potrzebowałeś poparcia? on pukał, wstawiał się, nie spoczął, chodził, tak długo kołatał, aż ci uzyskał, czegoś chciał; potrzebowałeś pomocy? on sobie ujął, z siebie surdut zdjął, na swe potrzeby się nie oglądał, ale tobie nie odmówił; zawadziłeś o dom jego? serdecznie rad ci był, „gość w dom, Bóg w dom“, mówił. Uwielbiali go biedni, których zawsze ratował; kochał go lud, któremu dobrze czynił; poważali świeccy i Duchowni, których dobrą sprawę zawsze popierał.

Gmina Rudka jest jedną z tych niewielu wsi, która należy do dwóch parafij: w połowie do Radłowa, a w połowie do Wierzchosławic. To też na pierwszą wiadomość o śmierci Szafrańskiego dzwony jednej i drugiej parafii jęknęły bólem i żałością. Czemu? bo obydwom parafiom dobrze czynił.

Przy wyborze wójta każda połowa chciała swojego mieć wójtem; wyborcy nie mogli się na żadnego zgodzić. Wtem błysnęła im myśl, prosić, aby „pan“ był wójtem. Poszli do niego. I Szafrański przyjął wło-

ścian ze łzą w oku, uściskał bratnią chłopską dłoń, przyjął wójtostwo i wójtował przez całe dwie kadencye aż do śmierci samej.

A jak wójtował? Oto świadkiem okazała 2 klasowa szkoła murowana, która jego staraniem i zabiegami bardzo tanim kosztem stanęła. On też do końca życia był przewodniczącym Rady szkolnej miejscowej i prawdziwym opiekunem nauczycieli.

Jak wójtował? świadkiem moralność, która za jego wójtostwa w Rudce zakwitła: roztropnie tępił pijaństwo i marnotrawstwo młodzieńców, a zachęcał do pracy, pilnował trzeźwości; umiejętnie ostrzegał gminę przed pismami wątpliwej wartości, a natomiast sam pouczające gazetki sprowadzał włościanom, a parafianie Wierzchosławiccy uznając taką staranność o dobro ludu, obrali go zastępcą przewodniczącego do komitetu kościelnego.

W dobrach księcia Sanguszki w Tarnowskiem był rządcą 24 lat, a przez ostatnie 20 lat dzierżawił folwark Rudka w tych samych dobrach, a książę cieszył się, że w dobrach swych ma tak zacnego charakteru dzierżawcę, któremu włościanie w tych szczególniej czasach sami z zaufaniem wójtostwo nad sobą powierzyli.

Pochód pogrzebowy z Rudki na cmentarz parafialny w Radłowie stwierdził, w jak szerokich sferach zmarły cieszył się sympatyą, a na pogrzebie brakło chyba tych, którzy o śmierci jego już po pogrzebie się dowiedzieli. Przybył tu z Krakowa JMĆ ksiądz kanonik Julian Bukowski, wuj zmarłego, przybył ks. Antoni Kmietowicz wraz z księżmi wikarymi z Radłowa, ks. Józef Czernecki z ks. wikarym z Jurkowa, ks. Józef Franczak, proboszcz z Wierzchosławic z księdzem emerytem; dwóch inspektorów szkolnych z Tarnowa, obecny p. Lech i dawny p. Habura; delegaci: Rady powiatowej i Kasy zaliczkowej w Tarnowie; koledzy z 63-go roku, koledzy i urzędnicy dóbr księcia Sanguszki, straże pożarne z Radłowa i z Tarnowa z muzyką, przyjaciele i krewni ze Lwowa, Krakowa, Białej, Rzeszowa, Tarnopola, Nowego Sącza i t. d. i t. d., a z całej okolicy ze znajomych i przyjaciół zmarłego, to chyba nikogo nie brakło. Kochali go wszyscy, bo i on wszystkim serce swe otworzył.

W żadnej gazetce ludowej nie czytałem dotychczas wiadomości o śmierci jego, a przecież ten pan, szlachcic polski, ukochał całem sercem włościan, ukochał ten lud i dla dobra jego gotów był mienie swoje, a nawet życie poświęcić. Upraszam więc, chociaż późno, by Szanowna Redakcya *Nowego Dzwonka* w swej pięknej gazetce ludowej raczyła pomieścić to krótkie wspomnienie o tym prawdziwym dobrodzieju i opiekunie ludu, jakim był ś. p. wójt z Rudki, Walery Szafrański.

Cześć jego pamięci — pokój jego duszy!

Jeden z uczestników pogrzebu.

Mowa ks. Szpondra o żydach.

Na bezwstydną mowę posła Daszyńskiego, wygłoszoną w Radzie państwa w obronie żydów, odpowiedział dzielnie ks. Szponder (stojałowszczyk) na posiedzeniu Rady państwa w dniu 22 listopada b. r.

Ks. Szponder mówił:

„Aby zrozumieć, jaką plagą są żydzi dla ludu, to trzeba żyć pomiędzy ludem i temu się naocznie przypatrywać. Żydzi dla Galicyi, to żywioł zgubny, to „czynnik rozkładowy“. Daleko jestem od nienawiści rasy żydowskiej, ale wstrętnego ich postępowania trudno nie znienawidzić.

Jakie straty Galicya poniosła tak pod względem moralnym jak i ekonomicznym, to rozważając nad tem, krew po żyłach się ścina i zdumienie ogarnia, jak mogło się tak dziać i to jeszcze bezkarnie.

Panowie! przejrzyjcie akta kryminalne po sądach galicyjskich, a przekonacie się, że w najbrudniejszych sprawach, żyd zawsze jest hersztem albo główną sprężyną. Dla żyda galicyjskiego pieniądz jest jedynym celem życia, jest ojczyzną, ba nawet religią, dlatego, by go posiąść, nie przebiera w środkach. Tak jest. Złodziejstwa, szachrajstwa, krzywoprzysięstwa dla marnego grosza i dla zniszczenia chłopa, to u żydów galicyjskich codzienna strawa! Chłop galicyjski mało oświecony, dobroduszny, łatwo daje posłuch słodkim i podstępnym słowom żyda, nie przypuszczając, że syn Abrahama tymi słowy skrada się do jego kieszeni i do jego majątku.

Tysiące gospodarstw chłopskich utonęło w paszczy zawsze zgłodniałego Izraela w sposób chytry i podstępny. *(Oklaski).* Żyd osiedlający się w gminie jest nieszczęściem dla ludu, bo z nim razem wchodzą do gminy dawniej cichej i spokojnej: wyzysk, lichwa, szachrajstwo, złodziejstwo i zgnilizna moralna. Przyjdzie w jednym hałacie, a wkrótce się staje sposobem szachrajskim najbogatszym.

Popatrzcie panowie na miasta i miasteczka w Galicyi, a przekonacie się, jaki smutny obraz przedstawiają! Żydzi zajęli wszystkie przychylniejsze miejsca i cały handel, spychając żywioł katolicki na drugi plan, a stało się to dlatego, że chrześcijaninowi nie pozwala sumienie na oszukiwanie na wadze i towarach, na fałszywe bankructwa. Kupiec chrześcijański nie może konkurować z żydem, jeżeli chce postępować sumiennie.

Któż to jest winien, że tylu chłopów galicyjskich rok rocznie wynosi się do Ameryki? Żydzi! Żydowski ajent podsuwa się do chłopa, jak wąż, szepcze mu do ucha, przedstawiając mu Amerykę, jako najroskoszniejszą i jako nie wyczerpującą się kopalnię złota, byle tylko wypchać go do Ameryki. Na tem wędrowaniu do Ameryki zyskuje i ko-

rzysta tylko żyd! Ajent żydowski za swoje pośrednictwo otrzymuje osobne wynagrodzenie, bierze od biednego chłopa podwójną cenę za koszta okrętowe *(Schiffkarte)*, a następnie w Ameryce sprzedaje go jako bydlę-zwierzę robocze niesumiennym plantatorom. Inny zaś żyd kupuje za bezcen grunta jego!

Co wyprawiają żydzi z udającymi się do Ameryki, jak w straszliwy sposób tych biedaków wyzyskują i oszukują, to wykazał choć w części powszechnie znany i skandaliczny proces wadowicki, w którym na czele tych bandytów stał najwięcej wpływowy żyd z Oświęcimia.

A któż to prowadzi oburzający i ohydny handel galicyjskiemi dziewczętami? Żydzi! Moi panowie, mało jest czasu na to, abym mógł przedstawiać wszystkie nadużycia żydów w Galicyi, ale może się do tego jeszcze nadarzy okoliczność. Zapewne, że i pomiędzy żydami znajdują się piękne i szlachetne dusze, ale tak rzadko, jak rzadkiemi są gwiazdy na niebie wśród czarnej i pochmurnej nocy. Można ich tylko żałować, że do tej narodowości należą.

Lituje się poseł Daszyński nad losami proletaryuszów żydowskich i nawołuje rząd do ich obrony i do wzięcia w opiekę, aby ich uchronić od głodowej śmierci.

Koniec mowy, przerwany przez prezydenta, miał brzmieć jak następuje:

Moi panowie, przez to pokazał tylko poseł Daszyński, że nie zna tej sprawy i nie rozumie prawdziwego położenia i istotnych potrzeb swoich wyborców. Gdyby bowiem wiedział, że tych 600 tysięcy żydów nie chce nic wiedzieć o ciężkiej pracy, gdyby wiedział, że tych 600 tysięcy żydów mają się daleko lepiej od milionów robotników chrześcijańskich, że gdyby wiedział, że tych 600 tysięcy żydów jest 600 tysięcy większych lub mniejszych szachrajów, którzy tylko nad tem myślą, jakby żyć bez pracy i jakby wyzyskać chłopów, to pewnoby coś podobnego nie powiedział.

Nie dawno przedtem poseł Daszyński nazwał nas zdrajcami ludu dlatego, że mieliśmy odwagę przyznać się tutaj w Wysokiej Izbie, że jesteśmy Polakami! Czy zaś poseł Daszyński dobrze zastępuje interesa swych chłopskich wyborców, broniąc ich największych wrogów, to niech sobie na to pytanie sam poseł Daszyński odpowie. Ja go nie będę tem samem wyzwiskiem częstował, jakiem on nas tutaj poczęstował, raczej niech to usłyszy od swych wyborców chrześcijańskich!“

Ks. Szpondrowi wielu posłów za tę mowę dziękowało, a pp. Daszyński, Kozakiewicz i inni socyaliści i żydzi pienili się ze złości.

Szopki i rozboje socyalistyczne.

Przed wyborami nakłamali przewódcy socyalistyczni co nie miara, naobiecywali tyle robotnikom i ludowi, że przechodziło to wszelki rozum ludzki, ale ciemny tłum uwierzył im i oddał swe głosy.

Teraz powinny się te kłamliwe obietnice spełnić, a nie spełniają się; robotnicy widzą, jak ich oszukano i poczynają, przynajmniej niektórzy, źle się wyrażać o jenerałach socyalistycznych i niedowierzać im. Jenerałowie widzą, że sprawa zaczyna się psuć, więc wymyśliwują przeróżne nowe bałamuctwa, zabawki i szopki, aby robotników dalej ćmić. I tak niedawno w pewną niedzielę urządzili p. Daszyński w Krakowie, a Kozakiewicz we Lwowie pochód demonstracyjny przeciw stemplowi gazeciarskiemu.

Można dać szyję, że żaden z robotników nie wiedział nawet o co chodzi i co to jest ten stempel dziennikarski, ale na rozkaz swych jenerałów i żydów wrzeszczał: „precz ze stemplem dziennikarskim“.

A choćby niektóry robotnik i wiedział o tym stemplu dziennikarskim, to cóż jego ma obchodzić ten stempel, albo cóż robotnikowi przyjdzie z jego zniesienia? Na tem zyskaliby tylko redaktorzy, ale nie robotnicy. P. Daszyńskiemu i żydom chodzi o to, aby w razie zniesienia stempla mógł *Naprzód* wychodzić codziennie. I cóż znowu z tego przyjdzie robotnikowi? jakaż ztąd dla niego korzyść? Czy robotnik pracowity ma czas na czytanie codziennej gazety? A choćby miał, to czyż to czytanie da mu zarobek, chleb, ubranie i mieszkanie?

Zniesie rząd stempel dziennikarski, to owe dwa miliony, jakie ma teraz ze stempla, odbije sobie w inny sposób, nałoży znowu podatek na co innego i robotnik będzie musiał płacić, a teraz nie płaci, bo płacą ci, którzy gazety czytają, a właściwie redaktorzy, więc tylko na jego niekorzyść wyszłoby zniesienie stempla, ale czy to pijany robotnik zrozumie?

On idzie jak durna owca za baranem, i ani się nie zastanawia, jak jest oszukiwanym haniebnie przez przewódców, stojących na usługach żydów.

Oprócz takich głupich szopek i zabawek, jakiemi jenerałowie socyalistów durzą lud roboczy, mają oni jeszcze inną broń do zwalczania tych, co z nich maskę zdzierają.

Prawdą oni walczyć nie potrafią, więc szkalują wszystkich uczciwych, którzy przeciw nim występują. Atoli dla tych ludzi bez czci i wiary zamało już szkalować i rzucać oszczerstwa na drugich, oni biorą się już do rozbójnictwa w biały dzień.

Niedawno temu napadło w Krakowie kilku drabów socyalistycznych na redaktora *Głosu Narodu*, p. Ehrenberga i poturbowało go za to,

iż tenże odważył się pisać prawdę o pośle Daszyńskim. A więc socyaliści już powoli przemieniają się w rozbójników i nie chcą pozwolić drugiemu na pisanie prawdy o nich.

Łatwo sobie teraz wyobrazić, jaka to byłaby wolność na świecie wtedy, gdyby socyaliści przyszli do rządów. Każdy, ktoby się na ich bezecną naukę nie zgodził, byłby zabijany bez ceremonii.

Drugi przykład zdziczenia socyalistów dają zajścia w Gracu, za Wiedniem. Odbywało się w tem mieście wieczorem 20 listopada b. r. zebranie chrześcijańskich socyalistów i antysemitów. Do sali w czasie obrad wtargnął motłoch socyalistyczny w liczbie 500 osób i uderzył na spokojnie radzących ludzi i na policyantów, gdy ci chcieli dzicz socyalistyczną wyrzucić z sali.

W czasie bójki ranili socyaliści pięciu policyantów, a ci, widząc, że z takimi rozbójnikami nie dadzą sobie rady, zawezwali pomocy wojska. Gdy wojsko przybyło, przyszło do starcia krwawego. Przewódcy socyalistyczni pchnęli tłum na bagnety i kilku robotników padło rannych, a jeden w kilka godzin potem umarł, złorzecząc przewódcom socyalistycznym, przez których schodził z tego świata.

Oto do czego prowadzą jenerałowie socyalistyczni ciemne rzesze robotnicze! Oszukują ich na każdym kroku i podjudzają, aby wywołać starcie z władzami, a potem krzyczą, że wojsko i policya morduje robotników, a nie powiadają tego, że to nie władze, nie wojsko, ale oni, przewódcy, oni sami pchają na bagnety robotników i osierocają rodziny. Zamiast tedy polepszenia doli, niosą robotnikom nędzę i śmierć. I to są zbawcy ludu!

Z ziemi ucisku.

Po upadku ostniego powstania z r. 1863, został jenerał-gubernatorem na Litwie krwiożerczy moskal Murawiew. Zwierz ten, nie człowiek, pastwił się w okrutny sposób nad Polakami, a zwłaszcza nad tymi, którzy mieli jakikolwiek udział w powstaniu.

Nazwano go za to *wiszatielem*, bo powywieszał na szubienicy znaczną liczbę Polaków za to, że ci chcieli bronić swej Ojczyzny. W oczach Moskali było to zasługą, więc teraz wystawili mu pomnik w Wilnie. Z okazyi odsłonięcia tego pomnika, moskiewscy profesorowie na uniwersytecie (najwyższej szkole) w Warszawie wysłali do Wilna telegram z uwielbieniem dla owego „wiszatiela“.

Oburzyła się tym niecnym postępkiem profesorów polska młodzież uniwersytecka, a gdy owi profesorowie przyszli do szkoły, młodzież nie chciała słuchać ich wykładów i zaczęła krzyczeć „precz z nimi — niech idą do Murawiewa wiszatiela“.

Moskalom w to graj; nadarzyła się im przez to nowa sposobność do prześladowania Polaków. Rozpoczęto śledztwo, a koniec jest taki, że uchwalono wydalić przeszło stu studentów z uniwersytetu na 3, na 2 lata, a niektórych na jeden rok. Biedna młodzież srogo odpokutuje swoje oburzenie na czynowników moskiewskich.

Miało być niby lepiej pod rządami obecnego cara, ale te nadzieje coraz więcej zawodzą, i wraca dawne prześladowanie Polaków i Kościoła katolickiego.

Mianowano wprawdzie kilku nowych Biskupów polskich dla osieroconych dyecezyj, i już odbywają się w Petersburgu ich konsekracye, ale równocześnie jednego z nich, mianowicie X. Biskupa Symona, przeznaczonego do Płocka, wywieziono na wygnanie do Odessy, i nie dano mu zająć stolicy biskupiej, przeznaczonej mu przez Ojca św.

Przyczyna wywiezienia X. Symona ma być taka: Na mocy ostatnich układów rządzu rosyjskiego ze Stolicą św. miano już nie używać języka rosyjskiego w nabożeństwie dodatkowem, jak rząd rosyjski zaprowadził, ale tego języka, jakim przemawia ludność.

X. Biskup Symon, jako sufragan Arcybiskupa dyecezyi mohylewskiej, wydał w nieobecności X. Arcybiskupa okólnik do Duchowieństwa, aby się tej umowy odtąd trzymało. Między księżmi atoli znajduje się kilku, którzy za ruble robią to, co rząd chce, więc po rosyjsku odprawiają nabożeństwo dodatkowe w kościele.

Tym księżom przeniewierczym nie podobał się okólnik X. Biskupa Symona i oskarżyli go potajemnie przed rządem. Minister oświaty pogniewał się jeszcze i o to na X. Symona, że tenże ów okólnik wydał bez jego wiedzy, a w Rosyi nic Biskupom robić nie wolno bez poprzedniego zezwolenia rządu.

Powstał tedy zatarg między X. Biskupem Symonem a ministrem i X. Symona pozbawiono dyecezyi, dla której był przeznaczony, a natomiast wywieziono do Odessy. Biskupem zaś dla Płocka ma zostać X. Ruszkiewicz, Biskup-sufragan warszawski.

Trzecią smutną wiadomością z pod Moskala jest to, że sprzyjający Polakom jenerał-gubernator Królestwa, książe Imeretyński miał się podać do dymisyi, bo widzi, że prąd ucisku znowu bierze górę, a on pragnął łagodnie rządzić krajem i dać Polakom jakie takie ulgi.

W chwili, gdy to piszemy, pogłoska ta utrzymuje się uporczywie, choć gazety warszawskie o niej milczą, podają tylko, że Imeretyński wyjechał do Petersburga w ważnych sprawach.

Co słychać w świecie.

Wiadomości z kraju.

Wiec ludowy w Tarnobrzegu odbył się dnia 17-go listopada b. r. przy udziale około 200 włościan z całego powiatu pod przewodnictwem wielkiego przyjaciela ludu, adwokata z Tarnobrzegu, pana dra Surowieckiego.

Przed wybraniem go na przewodniczącego wiecu, mówił dr. Surowiecki do zebranych wieśniaków, aby się nie oglądali na pomoc innych osób, lecz, aby sami o sobie radzili i pracowali nad polepszeniem swej doli, bo coraz jest gorzej. W kraju niema zarobku, niema fabryk i przemysłu, więc chłop, nie znajdując pracy, ucieka do Ameryki. Inne kraje już dawno się rozwinęły i w bogactwa urosły, a u nas ciągle źle, bo u nas brak przedsiębiorczości i panuje ogólne zaspanie.

Drugą przyczyną złego jest walka stronnictw. Ludzie, którzy dawniej mieli lud w opiece, spoglądają z niechęcią na nowych opiekunów ludu. Jedni i drudzy dobrze życzą ludowi, a tu trzeba nie samej tylko życzliwości, lecz trzeba i serca i pracy nad ludem, i to usilnej pracy.

Trzecią przyczyną złego są niższe władze rządowe. Władze wyższe usiłują dolę chłopa polepszyć, ale władze niższe przeszkadzają im w tem swym oporem, i ani pomocy ani rady chłopu nie udzielą tam, gdzie udzielić powinny. Mowę tę nagrodzono hucznymi oklaskami.

Potem przemawiał włościanin Mączka z Zaleszan o „poprawie rolnictwa, a głównie pastwisk gminnych“, i mówił bardzo mądrze. Mówca słusznie wykazywał wieśniakom, że sami są przyczyną swej biedy, bo do szkół zawodowych nie posyłają swych synów, że kółka rolnicze i czytelnie u nas są bez członków, bo wieśniak woli czas wolny spędzić u żyda w karczmie, aniżeli w czytelni. Przechodząc do „pastwisk gminnych“ oświadczył, że tak są te pastwiska prowadzone nędznie, iż bydło nie pasie się, ale tylko chodzi po nich, i radził co robić, aby z pastwisk był pożytek.

Po Mączce zabrał głos Stapiński od *Przyjaciela Ludu*, a po nim poseł Winkowski. Obaj pletli, jak zwykle, koszałki opałki, i nie pouczali włościan, tylko ich podjudzali przeciw panom, bo to już taki ich zawód.

Dalej mówiono o „niepodzielności gruntów włościańskich“. Przemawiał w tej sprawie wieśniak Saja z Grębowa, wykazując szkodliwość przymusu dzielenia gruntów, co zebrani przyjęli oklaskami. Zabrał teraz głos znowu poseł Winkowski i zaczął niby lamentować nad nędzą chłopską.

Po nim przemawiał ks. dr. Kopyciński, zbijając punkt za punktem twierdzenia p. Winkowskiego, a przytem dał Winkowskiemu i Stapińskiemu dobrą nauczkę, aby zamiast lud podjudzać, pracowali dla ludu, uczyli go poczciwego zarobku, przemysłu, zakładali kasy po wsiach, a nie siali niezgody między ludem.

Wyjaśniał dalej ks. Kopyciński, iż nie rozchodzi się o zupełne zakazanie dzielenia gruntów, ale o to, aby w razie śmierci beztestamentowej właściciela gospodarstwa, przechodziło na jednego spadkobiercę, którýby resztę rodzeństwa spłacił, żeby wolno było niedzielić

gruntu, gdy sam właściciel zechce tak zrobić, a więc jest tu mowa o częściowej niepodzielności gruntów. Na końcu wzywał do zgody i wspólnej pracy, bo źle jest w kraju.

P. Stapiński zabrał zaraz głos i rzucił się w zjadliwych słowach na ks. Kopycińskiego, przyczem kłamał, bo przypisywał ks. Kopycińskiemu takie słowa, których ks. Kopyciński nie mówił.

Przyszło stąd do zatargu z ks. Kopycińskim, który Stapińskiemu powiedział i słusznie: „głupiś!“ Na to skoczył Stapiński i tylko dr. Surowiecki przeszkodził awanturze. Taki Stapiński gotów się był rzucić na kapłana katolickiego, bo co dla niego kapłan znaczy.

Potem przemawiali jeszcze ks. Kopyciński i ks. Zuzak o kasach Reiffeisena, zaś Wiącek, chłop z Machowa, mówił o handlu bydłem, i o innych sprawach, a mówił tak mądrze, że wszyscy podziwiali jego słowa. Ale, bo to chłop mądry, zaprowadził w swej wsi Kółko rolnicze, straż ochotniczą pożarną, sam prowadzi mleczarnię, piekarnię i jest duszą całego ruchu.

Po wyczerpaniu porządku dziennego zamknięto wiec o godzinie 4-tej po południu. Przedtem podziękował ks. Kopyciński dr. Surowieckiemu za jego gorliwą pracę około podniesienia doli chłopskiej.

Austrya i Węgry.

Z Rady państwa. Różnych już środków chwytali się zaciekli Niemcy z żydami i socyalistami, by koniecznie zmusić hr. Badeniego do ustąpienia z ministerstwa i do odwołania rozporządzeń językowych dla Czech. Bili deskami od pulpitów, hałasowali jak ulicznicy, wygłaszali mowy przez całą noc, ale to wszystko nic nie pomogło. Prawica odrzuciła wniosek postawienia ministra w stan oskarżenia za wydanie rozporządzeń językowych, a odrzuciła większością tylko 6-ciu głosów.

Dużo do zwycięztwa prawicy przyczynili się polscy włościańscy posłowie tak „stojałowszczycy“ jako i „ludowcy“, bo głosowali z prawicą i dobrze zrobili. Chodziło tu o obronę Czechów, a Czesi, to Słowianie, jako i my, więc Polakom należało się stanąć po stronie hr. Badeniego, który chce Czechom dać to, co się im słusznie należy.

Poseł Daszyński bryzgnął za to na posłów włościańskich stekiem obelg i grubijaństw, ale posłowie nic sobie robić z tego nie powinni, bo takie żydowsko-psie głosy nie idą w niebiosy.

Ponieważ dotychczasowy prezydent Izby posłów poseł Kathrein zrzekł się tej godności, więc nastąpił wybór nowego prezydenta i wybrano nim posła Abrahamowicza (z Galicyi), następnie pierwszym wiceprezydentem posła Kramarza (Czecha), a drugim posła Fuchsa (Niemca) ze stronnictwa katolickiego.

Bójka na noże. Dnia 24 listopada przyszło w Radzie państwa do niebywałych, nader gorszących scen. Gdy prezydent Abrahamowicz nie chciał udzielić głosu Schönererowi, temu ulicznikowi i ostatniemu szubrawcowi, Schönerer przyskoczył do prezydenta i wyrwał mu dzwonek z ręki. Przyskoczyli i inni jego przyjaciele do trybuny prezydenta, a gdy prezydent wyszedł, zajęli ją. Posłowie z prawicy chcieli ich zepchnąć, nastąpiło tedy szamotanie się i hałas w całej Izbie.

Po chwili poseł Pfersche (profesor uniwersytetu niemieckiego w Pradze) wyciągnął długi nóż, a zwróciwszy go ku Młodoczechom, wołał: Kto się zbliży, pchnę go nożem!

Wtedy Potoczek i Szuklje powstrzymali go, a Lemisch wyrwał mu nóż. Podczas bójki kilku posłów zostało rannych. Wolf został również pobity. Baryera ministeryalna zupełnie zniszczona. Podczas tych zajść z galeryi krzyczano: Pfui!

I cóż taka Rada państwa warta? Czy nie lepiejby było rozpędzić takich posłów na cztery wiatry i zawiesić konstytucyę? Lud płaci na podatki krwawy grosz, idą z tych podatków setki tysięcy dla posłów, a ci zrobili z parlamentu jaskinię zbójców.

A tymi rozbójnikami, to nie nasi polscy posłowie, nie Słowianie wogóle, ale Niemcy, którzy się szczycą i przechwalają wyższą oświatą, wyższą kulturą! Bodaj ich z taką oświatą! Każdy awanturnik i pijak popisuje się podobną oświatą w karczmie.

Obostrzenie regulaminu. Aby umożliwić jako tako obrady i poskromić owych szubrawców ze spółki Schönerera i socyalistów, postawił na drugi dzień po owej bójce poseł Falkenhayn wniosek zmiany regulaminu.

Wśród okropnej wrzawy i brutalnych wyzwisk ze strony Schönerera, Wolfa, Daszyńskiego i innych, wniósł hr. Falkenhayn, aby: prezydent miał prawo wykluczyć posła awanturnika na trzy posiedzenia, a cała Izba, aby miała prawo wykluczenia na 30 posiedzeń z odjęciem na ten czas pensyi.

Prawica uchwaliła to zaraz bez rozpraw przez powstanie, a co się działo w czasie tego po lewicy, co robili socyaliści, to się nie da opisać, dość, że tego dnia nie można już było odbywać dalszego posiedzenia.

Gwałty socyalistów. Nazajutrz 26 listopada stała się Rada państwa miejscem jeszcze ohydniejszych gwałtów, a tym razem wywołali je socyaliści z Daszyńskim na czele. Pomagali mu w tych gwałtach towarzysze Berner (żyd), Resel, oraz Wolf, Schönerer i inni.

Żyd Berner chciał zrzucić prezydenta Izby p. Abrahamowicza z krzesła prezydyalnego i uderzył go nawet silnie. Socyalista Resel wpadł też na trybunę prezydyalną i podarł wszystkie leżące tam papiery. Daszyński zaś przedtem jeszcze zajął krzesło prezydenta, (gdyż ten zmuszony był uciekać), i usiadłszy na krześle, wył jak dzikie zwierzę.

Policya w parlamencie. Wskutek takich gwałtów prezydyum Izby zmuszone było zawezwać pomocy policyi, która też przybyła do Izby w liczbie 70 osób i zaczęła przemocą wyrzucać awanturników, mianowicie: Daszyńskiego, Kozakiewicza i innych socyalistów, oraz Schönerera i Wolffa. Zarazem też prezydent wykluczył tych wszystkich na trzy posiedzenia.

Coś podobnego nie działo się od początku świata w żadnym kraju, w żadnym parlamencie, co się teraz działo w parlamencie wiedeńskim! Nawet bójki chłopskie w karczmach nie przedstawiają tak ohydnego widoku, co bójki posłów w parlamencie. Doszło przecież do tego, że trzeba było trybunę prezydenta i ławkę ministrów odgrodzić baryerami i dzwiczkami od strony zdziczałych posłów, ale i to nie pomogło, bo zaciekli socyaliści i Schönereryanie dostali się i przez baryerę do trybuny, a prezydent musiał aż uciekać przed nimi.

Skandal, skandal niesłychany, jakiego świat dotąd nie widział!

Na następnem posiedzeniu odbywały się dalsze awantury; niektórzy posłowie z opozycyi przynieśli sobie trąby, świstawki, i trąbili, świstali, jak jakie żaki, a wszyscy z nich mieli podobno rewolwery w kieszeniach.

Przekradł się do sali poseł Wolf, a gdy policya zabierała się do wyrzucenia go, uderzył komisarza policyi w twarz, za co go zaraz aresztowano i do więzienia odstawiono.

Rozruchy uliczne — mała rewolucya. Wściekłość posłów wyrzuconych z parlamentu udzieliła się i ulicy. W sobotę wieczór i w niedzielę rano (27 i 28 listopada) przyszło na ulicach Wiednia, oraz w Gracu, w Pradze i w Chebie do rozruchów, które wywołali studenci, socyaliści i robotnicy. Podczas starć z policyą zginęły w Gracu dwie osoby.

Wieczór w sobotę (27 listopada) powrócił Cesarz do Wiednia, aby naradzić się z ministrami, co robić. Nazajutrz w niedzielę (28 listopada) **całe ministerstwo podało się do dymisyi,** a Cesarz dymisyę przyjął.

A tak hr. Badeni już ustąpił, z czego Niemcy mają szaloną radość.

Rada państwa została odroczoną do 8—10 grudnia b. r.

Utworzenie nowego ministerstwa powierzył Cesarz Gautschowi, dotychczasowemu ministrowi oświaty. Więc p. Gautsch zajął miejsce hr. Badeniego. Wolfa natychmiast wypuszczono z więzienia. Gautsch znany jest jako wróg Słowian, więc Polacy nie mogą się wiele dobrego po nim spodziewać.

Nikt nie przypuszczał, że rząd ustąpi, bo ustąpienie hr. Badeniego, to znaczy poddanie się rządu tym ulicznikom i tym drabom socyalistycznym, którzy ciągle domagali się, by hr. Badeni ustąpił. Zwyciężyła tedy ulica, z czego w przyszłości mogą wyniknąć straszne skutki! Biada społeczeństwu, któremu przewodzić zaczyna motłoch uliczny!

ROZMAITOŚCI.

Prosimy bardzo o wczesne i regularne nadsyłanie przedpłaty, bo to jest głównym warunkiem regularnego wydawania pisma.

Jeżeli komu brakuje którykolwiek numer *Nowego Dzwonka* z tego roku, to niech się zgłosi do nas, a my mu ten numer prześlemy za darmo, ale tylko jeden numer za darmo, za kilka zaś trzeba osobno zapłacić po 25 ct. za numer. Zgłosić się trzeba wcześnie, bo później nie będziemy mogli już takich numerów posłać.

Dłużników wzywamy, aby już raz z długu się uiścili, jeżeli nie chcą się narazić na koszta sądowe i na wstyd.

Olbrzymią kradzież popełniono w krakowskiem Towarzystwie ubezpieczeń, a dopuścił się tej kradzieży nie jakiś rzezimieszek z lasu lub ulicy, ale dyrektor działu ubezpieczeń na życie, Czesław Kieszkowski.

Pan ten miał jako dyrektor ładną pensyę, bo na rok około 10 tysięcy reńskich, ale to mu nie wystarczało, bo prowadził hulaszcze

życie, żył z magnatami i chciał im dorównać. Nie mając zaś na tyle pieniędzy z pensyi, kradł, a gdy kradzież wyszła na jaw, umknął z kraju i dotąd go nie schwytano.

Towarzystwu ukradł Kieszkowski blisko 120 tysięcy reńskich, ale na daleko więcej, bo na kilkaset tysięcy zarwał osoby prywatne. Dwie wdowy, które mu powierzyły swój majątek, po kilkadziesiąt tysięcy, cały ten majątek straciły.

Że Kieszkowski potrafił Towarzystwu ukraść 120 tysięcy, to wina władz nadzorczych, które go należycie nie kontrolowały. Ubezpieczeni na tem wprawdzie nic nie stracą, ale dla Towarzystwa to wstyd wielki, że znalazł się taki złodziej i oszust między urzędnikami głównymi.

Żywcem pochowany. Ze Schodnicy w pow. drohobyckim donoszą: Dnia 15 listopada o godz. 6 wieczorem umarł tu kowal Hanuszczak; wbrew wszelkim obowiązującym przepisom został pochowany w 23 godzin po śmierci, t. j. o godzinie 5-tej popołudniu drugiego dnia, 16 listopada. Dnia 17 listopada rano poszedł na cmentarz grabarz, aby lepiej zasypać grób zmarłego Hanuszczaka. Wziąwszy się do roboty usłyszał w grobie hałas i wołanie zmarłego. Przestraszony tem uciekł z cmentarza i zawiadomił o tem robotników fabrycznych i przyjaciół zmarłego. Ci pospieszyli na cmentarz i odkopali grób. Ciało zmarłego było jeszcze ciepłe. Nie ulega więc wątpliwości, że Hanuszczak w grobie odżył, chciał się ratować, ale zanim go odkopano, udusił się. Nad grób przybyła komisya sądowa i mnóstwo ludzi. Grabarz stanowczo oświadczył komisyi, iż przysiądz może, że słyszał głos nieboszczyka i jego szamotanie się w grobie. Sprawa ta została oddana sądowi.

Ohydna zbrodnia. We wsi Ropczy na Bukowinie dopuścili się dwaj wieśniacy, Samuel Bostan i Ochrym Teodor, ohydnej zbrodni na stróżu Łazarze Jendze. Zaprowadzili stróża do chaty jednego z nich, upoili go, a potem zarąbali siekierami. Pomimo, że ukryli trupa, zbrodnia wnet się wykryła.

Pies wściekły pokąsał dwoje ludzi we wsi Wyszatycach, pod Przemyślem. Pogryzionych wysłano bezzwłocznie do Krakowa do prof. Bujwida.

Przemytnicy. Dnia 2 listopada około godziny 9 wieczorem na granicy rosyjskiej, w miejscu, gdzie Raba wpada do Wisły, Jan Molenda przewoził 6 chłopów i 3 żydów przemytników z Królestwa Polskiego, którzy po różne towary, między innemi po wódkę, zapałki i noże do Galicyi udać się chcieli. W chwili, gdy Molenda odbił od rosyjskiego brzegu, strzelił rosyjski żołnierz graniczny w kierunku łodzi, a następnie, gdy łódź była w połowie drogi, strzelił jeszcze dwa razy. Od tych strzałów padł Józef Dolan na miejscu, drugi zaś chłop, Jędrzej Gliński, odniósł ciężką ranę w nogę. Molenda po przybiciu do brzegu po stronie austryackiej pozostawił zwłoki zabitego Dolana przy słupie granicznym,

a rannego Glińskiego złożył w domu Dawida Wanderera w Niedarach. Glińskiego zabrał ojciec jego później napowrót do Rosyi.

Śmierć z udławienia. W koszarach cytadeli we Lwowie, żołnierz A. Paszkowski połknął w czasie obiadu zbyt wielki kawał mięsa, który utkwił mu w gardle. Żołnierz, czując, że się dusi, wybiegł do sieni i padł na ziemię bez przytomności. Koledzy chcieli biciem w kark dopomódz mu do połknięcia mięsa, ale środek ten nie pomógł i Paszkowski wkrótce zmarł wskutek uduszenia.

W koszarach powinien być lekarz, ale lekarze mieszkają w mieście, więc nie miał kto nieszczęśliwego uratować.

Zasypane gliną. W wiosce Łabędziowie, gminie Morawicy, w powiecie Kieleckim (w Królestwie Polskiem) zdarzył się bardzo smutny wypadek. Pod wieczór dnia 21 października b. r. gospodarz Marcin Maleszak pojechał wołami po glinę, której obfity pokład znajduje się za wsią pod samym lasem. Prawie jednocześnie wyszły z domu dwie jego córki, wziąwszy z sobą opałkę, rydel i motykę do kopania gliny. Ojciec pojechał drogą, córki zaś poszły krótszą ścieżką. Młode i rzeźkie dziewoje musiały wyprzedzić ojca przynajmniej o pół godziny. Przyjechawszy na miejsce, ojciec zobaczył tylko opałkę, stojącą przy dole. Dziewcząt nie było. Myśląc, że poszły do lasu zbierać grzyby, podążył za niemi i począł wołać, ale gdy się nie odzywały, wrócił do wołów.

W tej chwili nadeszła i matka. Słysząc, że córek nie ma, zatrwożyła się i mówi: „A może one tu przywalone?“ Zawołali znajdującego się niedaleko w polu sąsiada i dalejże odkopywać ziemię. I sprawdziło się przeczucie matki. Oto spostrzegła włosy, oto czoło... poznają — to młodsza ich dziewczyna! Nieszczęśliwa była przywalona ziemią w postawie stojącej. Dalej w znacznej już głębokości, leżała starsza siostra. Znaleziono ją, wybrawszy ze 40 fur gliny. Obie były nieżywe, bo więcej niż godzinę w ziemi przeleżały.

Utonięcie w serwatce. Rosyjska gazeta *Wołgar* donosi, że we wsi Sartakowo, guberni niżno-nowogrodzkiej, utonęła w garnku z serwatką rok i dwa miesiące licząca wnuczka włościanina Samsonowa. Dziewczynka pod nieobecność starszych, pełzając po podłodze, dopełzła do dużego garnka z serwatką, nachyliła się nad nim, tak, że głową wpadła do garnka, zachłysła się i udusiła.

Miłość matki. W Rudzie, w pow. brodzkim, spalił się dom włościanina Orzechowskiego. W płomieniach zginęło jednoroczne dziecko. Matka, chcąc ratować dziecko, rzuciła się pod walące się zgliszcza strzechy i rówież znalazła śmierć w płomieniach.

Szkoła rolnicza dla żydów. Pewne żydowskie towarzystwo ma założyć w Galicyi szkołę rolniczą dla żydów. Ma ona wykształcić żydów-rolników dla kolonij żydowskich w Argentynie.

W Kołomyi żołnierz 24 pułku rzucił się do studni w zamiarze samobójczym i utopił się. Zwłoki jego leżały w studni przez 2 tygodnie. Przez ten czas sądzono, że zdezerterował.

Rozruchy wyborcze w Komarnie. W procesie przeciwko 67 oskarżonym o gwałt publiczny, popełniony podczas wyborów w Komarnie, zapadł i ogłoszony został już wyrok trybunału sądu karnego w Samborze. Podczas rozprawy prokurator państwa odstąpił od oskarżenia przeciwko ośmiu podsądnym, jeden zaś podsądny zmarł w czasie dochodzenia. Skazani zostali na karę więzienia przez lat trzy: Hnat Barylak, Jan Piliński Hołodny; na dwa lata: Michał Piliński Kamieniczny, Jan Kogut Onufrego, Józef Kulik, Jan Piliński Siwy i Michał Wygnański. Reszta oskarżonych otrzymała mniejsze kary, z których najniższa wynosi 4, najwyższa 21 miesięcy więzienia.

Bez jedzenia koń może żyć 25 dni, jeśli ma pod dostatkiem wody do picia; będzie żył dni 17 tylko, jeśli nie będzie miał czem zaspokoić równocześnie i pragnienia; paść musi jednak po dniach 5, jeśli mu damy pożywienie bez możności ugaszenia pragnienia. Kot, skazany na post przymusowy, żyje dni 20, pies zaś, pijąc, dopiero po dniach 39 kończy żywot śmiercią głodową; bez wody zdycha po upływie 20 dni. Królik opiera się śmierci przez dni 14, gołąb przez dni 10, a wróbel przez 2 dni tylko. Człowiek w zwykłych warunkach może zachować post nie dłużej jak trzy tygodnie. „Uzdolnieni“ głodomorzy wytrzymują z łatwością półtora miesiąca bez strawy i napojów. Ropuchy są najwytrwalsze, gdyż żyć mogą dwa do trzech lat bez pożywienia i wody.

Przemysł polski na Syberyi. Polak p. Zaleski, zamieszkały we wschodniej Syberyi, otwiera browar w mieście Błagowieszczeńsku nad Amurem (na Syberyi), w którym to browarze pracować będą wyłącznie Polacy sprowadzeni z Warszawy. Całkowite urządzenie browaru wysłała z Warszawy firma Poszepnego, wraz ze swoimi robotnikami, którzy urządzą browar na miejscu. Będzie to jeden z pierwszych browarów we wschodniej Syberyi. Budowę zaś jego poprzedziło otwarcie takichże zakładów nad brzegami Oceanu Spokojnego we Władywostoku i Nikołajewsku, gdzie również w fachu tym pracują sami Polacy, a urządzeniem zajmowała się wspomniana fabryka warszawska.

Nowe stemple. Z dniem 1 stycznia 1898 r. będą zaprowadzone w Austryi nowe stemple. Dotychczasowe stemple z r. 1893 zostaną z dniem 1 lutego 1898 wycofane, i od tego też dnia nie wolno będzie ich używać, ale można je będzie bezpłatnie wymieniać na nowe.

Chińskie zabobony. Dziennik angielski, wychodzący w Chinach, *Tientsin Times*, donosi, że wśród niższych warstw ludności chińskiej panuje niczem nie dające się wykorzenić przekonanie, iż Europejczycy, budujący kolej w państwie chińskiem, pod każdy podkład kolejowy

kładą ciało dziecka, a to dla zapewnienia budowie trwałości. Chodzą wieści, że poseł rosyjski w Pekinie zażądał od cesarzowej chińskiej dostarczenia mu 2000 dzieci dla powyższego celu. Z tych baśni korzystają chińscy rabusie dzieci dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności na znienawidzonych Europejczyków za wszystkie dzieci, które kradną rodzicom.

Okropny pożar nawiedził jedną część miasta Londynu w Anglii. Spłonęło 100 magazynów kupieckich i 6 ulic. Straty wynoszą kilkadziesiąt milionów.

Straszny wypadek. W Kownie, na Litwie, zdarzył się taki wypadek: W menażeryi popisywał się poskramiacz zwierząt i wszedł do klatki, w której był tygrys, by pokazywać różne z nim sztuki. Tygrys rzucił się na pogromcę i rozszarpał go w oczach publiczności, która na ten widok i myśląc, że tygrys rzuci się przez kraty na obecnych, poczęła uciekać. W natłoku udusiło się 8 osób, a tygrys tymczasem pożerał spokojnie ciało nieszczęśliwego pogromcy.

Dżuma w Indyach azyatyckich znowu wybuchła. Oprócz Indusów padło jej ofiarą już kilku Europejczyków.

Żydzi przebrani za księży. W południowych Węgrzech pochwycono kilku niby księży ze Wschodu, mianowicie z Chaldei, zbierających składki na kościoły i na biednych chrześcijan chaldejskich. Pokazało się, że to nie byli księża, tylko żydzi węgierscy przebrani za księży.

Koniec świata. Uczony astronom (gwiaździarz) angielski Tomasz Harris przepowiedział niedawno, że koniec świata nastąpi już w r. 1900, czyli za 2 lata. Zaniepokoiła ta przepowiednia wielu ludzi, ale wnet się uspokoili, gdy ów uczony mąż wynajął sobie nowe mieszkanie, zrobiwszy kontrakt na 15 lat. Widać, że sam w swą przepowiednię nie wierzy.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.